



Podróż 42

Jeżeli nie mamy zbyt wiele czasu, by wyruszyć na wyprawę dookoła Islandii, a chcemy zobaczyć jak najwięcej najciekawszych atrakcji wyspy, to warto wybrać się na wycieczkę wzdłuż tzw. Złotego Kręgu (Golden Circle). Trasa ta znajduje się w południowo-zachodniej części Islandii. Rozpoczyna i kończy się w Reykjavíku. Można by rzec, że Złoty Krąg stanowi swoistą kwintesencję Islandii. W wersji minimalnej całą trasę można pokonać w ciągu jednego dnia.

Wycieczki takie organizowane są przez miejscowe biura podróży, ale najwygodniej jest pokonać całą trasę wynajętym samochodem.

Opuszczamy Reykjavík, najdalej na północ położoną stolicę świata. Każdy pokonany kilometr oddala nas od cywilizacji. Ogarania nas dziwne uczucie samotności. W samochodzie panuje cisza, słychać tylko pomruk silnika i szum opon trących o chropowaty asfalt. Wszyscy z niedowierzaniem patrzymy przez szyby na otaczającą nas magiczną przestrzeń. Przed nami wąska, asfaltowa nitka drogi i nieskażony ludzką ręką dziewiczy krajobraz. Jedziemy dalej na północ zagłębiając się w odludne pustkowie wyspy.

W końcu zatrzymujemy się na niewielkim parkingu, wciśniętym pomiędzy wyniosłe skalne ściany. Jesteśmy na dnie uskoku tektonicznego, na styku dwóch płyt kontynentalnych Eurazji i Ameryki Północnej przecinających całą wyspę. To właśnie temu położeniu



na Uskoku Północnoatlantyckim wyspa zawdzięcza niesamowity krajobraz z licznymi wulkanami, polami lawy czy gejzerami.

Dolina Pingvellir, w której jesteśmy, to nie tylko rzadko spotykany fenomen natury, będący w niestannym ruchu, to także najważniejsze miejsce dla islandzkiej tożsamości narodowej. Pingvellir oznacza dosłownie „równina zgromadzeń”. Tutaj zbierał się Althing, średniowieczny islandzki parlament. To tutaj w 930 r. zwołano po raz pierwszy zgromadzenie wolnych mieszkańców wyspy. I wreszcie tutaj zapadały najważniejsze decyzje, stanowiono prawo i dokonywano egzekucji. W tysięcznym roku przyjęto chrześcijaństwo i ustanowiono biskupstwa. Niezwykłe jest to, iż w średniowieczu na Islandii był tylko jeden urzędnik – głośiciel prawa. Pełnił on funkcję przewodniczącego, organizował obrady i kontrolował ich przebieg. Do jego zadań należało recytowanie praw. Jeśli o jakimś przepisie zapomniał, a nikt z obecnych nie zwrócił na to uwagi, prawo przestawało obowiązywać. Niestety do dzisiaj nie wia-

domo, gdzie znajdowała się „skała prawa”, na której zasiadał głośiciel.

Wchodzimy na punkt widokowy, skąd rozpościera się wspaniały widok na rozległą dolinę i jezioro. Stąd również widać pięć stojących w rzędzie niewielkich domków. To letnia rezydencja premiera – przypominająca bardziej skromny domek na ogródkach działkowych – oraz siedziba władz parku. Obok jeden z najstarszych kościołów w Islandii. W okolicy wyznaczono liczne szlaki dla turystów. Idąc jednym z nich, pomiędzy pionowymi skałami doskonale obrazującymi tarcia płyt tektonicznych dochodzimy do wodospadu Oxafoos. Ponoć według legendy dwa razy w roku woda zamienia się tu w wino – niestety nie był to ten szczęśliwy dla nas dzień.

Ruszamy dalej. Dojeżdżamy do miejsca, od którego wzięły nazwę wszystkie gorące źródła wyrzucające słup wody. Geysir to nazwa obszaru, na którym jest kilka takich źródeł, na czele z najsłynniejszym. Niestety od lat 60-tych XX stulecia nie wybucha sam z siebie, a uaktywnia się jedynie podczas

trzęsienia ziemi. Wszystko za sprawą niecierpliwych turystów, którzy zasypywali go kamieniami i wiadrami mydlni chcąc pobudzić jego aktywność. Natomiast wielką atrakcją pozostaje Strokkur „maselnica”, który ze względu na regularność wyrzuca potężny, wysoki nawet na 35 m słup wody.

Najpierw spokojna woda delikatnie drży, po chwili zostaje zassana do środka, a następnie wypchnięta do góry tworząc błękitny bąbel o średnicy 2-3 metrów, by wreszcie raptownie wystrzelić fontanną wrzącej wody. Ma ten spektakl w sobie jakąś magię. Uależnia. Stoję tam, obserwuję wybuch i już chciałbym iść dalej, ale nie. Poczekam jeszcze trochę, na kolejny wybuch. Chcę zrobić jak najwięcej zdjęć, uchwycić gejer w każdym momencie jego aktywności. Zjawisko to robi naprawdę ogromne wrażenie, a ja wciąż czuję niedosyt. W okolicy jest tylko jeden prawdziwy gejzer. Reszta to wrzące oczka niesłusznie nazywane gejerami.

Jak przy większości atrakcji turystycznych na Islandii i tutaj znajdziemy sklep z pamiątkami. Jest drogo, ale i idiotycznie śmiesznie. Obok magnesów, dzwoneczków, breloczków, plastikowych i pluszowych maskonurów (urocze ptaki – taki turystyczny symbol Islandii) można kupić świeże Islandzkie górskie powietrze zamknięte w metalowej puszcze. Co ciekawe na opakowaniu jest podany nawet skład powietrza i miejsce jego „zaczernięcia”. W tym wypadku był to lodowiec Hekla. Poważna sprawa. Już wyobrażam



Dolina Pingvellir znajdująca się na styku dwóch płyt tektonicznych



Gullfoss to jeden z największych wodospadów świata



Jedyny, prawdziwy gejzer Islandii – Stokkur



Najpiękniejszy bąbel świata. Tak rozpoczyna się eksplozja gejzera Stokkur

sobie ten ekscytujący moment, kiedy częstuje znajomych w trakcie piłkarskiego meczu.

Jedziemy dalej. Jak Złoty Krąg to Złoty Wodospad. Zapierający dech w piersiach Gullfoss, to kolejny cud natury. Składa się z dwóch kaskad – pierwszej o wysokości jedenastu metrów i drugiej, dwudziestometrowej. Woda lodowcowa spływa tutaj do wąwozu o długości dwóch i pół kilometra i głębokości 70 metrów. Huk spadającej wody zagłusza wszelkie głosy. Ziemia trzęsie się od uderzeń mas wody o dno kanionu wyłobionego w twardych bazaltowych skałach, a welon rozpylonej mgły widoczny jest z daleka. Porywisty, zimny wiatr wiejący znad kaskady przenika najcieplejsze ubrania. Trudno patrzeć na to cudo, bo od razu zaczynają łzawić oczy. Ścieżka prowadząca w po-

bliże wody jest śliska i błotnista. Szukamy dogodnego miejsca do zrobienia zdjęcia. Jednak ostrzeżenia ochładzają nasze zapędy, by stanąć na krawędzi wodospadu. Gullfoss to jeden z najczęściej odwiedzanych wodospadów świata. Co jednak przyciąga tu liczne rzesze turystów? Jego dzikość, potęga, surowość i potężne lodowce w tle? I nawet, gdy nie odpowiemy sobie na to pytanie, będziemy wiedzieć jedno – warto było.

Zmarznięci i przemoczeni wskakujemy do samochodu. Ogrzewanie na full i ruszamy dalej. Już po chwili zapominamy o wszelkich niedogodnościach. Zatrzymujemy się przy skubiących pozółkłą trawę koniach, przypominających mniej kolorową wersję kucyków Ponny. Skąd tutaj taka rasa? Podobno pierwsi osadnicy w IX wieku, przywieźli na

wyspę ze sobą konie. Ponieważ nie miały one kontaktu z innymi rasami stały się kucami najczystszej krwi. Mają charakterystyczną krępa budowę ciała, krótkie, mocne kończyny oraz długie grzywy. Przez wieki doskonale przystosowały się do trudnych islandzkich warunków. Dzisiaj bardziej pełnią rolę islandzkich maskotek niż gospodarskich zwierząt.

Czy może nas coś jeszcze zaskoczyć? Na Islandii z pewnością tak. Kilkadziesiąt kilometrów od stolicy, znika asfalt. Jedziemy po szutrowej drodze. Kolejna niespodzianka to krater Kerio. Ma 3 tysiące lat, jest głęboki na 55 metrów. Urody dodają mu barwne skały oraz turkusowe jezioro wypełniające dno krateru. Wykorzystując amfiteatralne kształty kaldery, pewnego dnia zorganizowano tu koncert: muzycy grali na trawie – pewnie w rękawiczkach, a publiczność stała na koronie krateru.

Pokonując kolejne kilometry kamiennej pustyni wjeżdżamy na półwysp Reykjanes, gdzie zatrzymujemy się na polu geotermalnym Seltun. To istne zderzenie z wulkanicznym obliczem półwyspu. Temperatura pod powierzchnią ziemi sięga 200 stopni Celsjusza. Gazy i woda ogrzewane pod ziemią znajdują ujście na powierzchni w postaci gorących źródeł, bulgoczących bajorek i fumaroli. Był tu kiedyś potężny czynny gejzer, którego energię próbowano wykorzystać do wytwarzania energii grzewczej. Jednak eksplozja w 1999 r. pokrzyżowała te plany. Kilka lat później nad bulgoczącymi źródłami wybudowano drewniane kładki, by można było bezpiecznie zwiedzać okolicę. Niestety, imponujący spektakl, bulgoczącej mazi, gotującej się wody i pokrywającej wszystko pary, niweczy odurzający zapach siarkowodoru



Oryginalna pamiątka z Islandii – powietrze z lodowca w puszcze

albo bardziej obrazowo – zgnitych jaj.

Jeszcze jeden przystanek. Przed nami dziesiątki drewnianych żerdzi, na których suszą się ryby. Nie mogliśmy odmówić sobie możliwości spróbowania tego przysmaku. Niestety – kompletna porażka. Mięso jest tak twarde, że nie udaje nam się odgryźć nawet kawałka. Dopiero wieczorem w ciepłym drewnianym domku, doczytujemy w przewodniku. Harðfiskur – czyli suszone ryby od wieków stanowią podstawowy składnik jadłospisu Islandczyków. Wiele gatunków ryb nadaje się do suszenia, ale tradycyjnie suszy się na Islandii dorsze, łupacze i sumy. Czas suszenia zależy od wiatru, temperatury powietrza i wilgotności. Kiedy ryba jest już sucha i sztywna jak papier to znak, że jest gotowa do jedzenia! Jeśli łamie się łatwo można ją już jeść. Rybę należy teraz zbić drewnianym młoteczkiem, tłuczkiem do mięsa, albo wałkiem, aż będzie można łatwo odłupywać z niej płatki i rozrywać rękoma. Suszoną rybę je się bezpośrednio lub, jak uwielbiają Islandczycy, posmarowaną masłem. Kolejny przepis gotowy. Życzę wszystkim smacznego i zapraszam na kolejną podróż.

Tekst, zdjęcia Ireneusz Wołek

www.niezwyklyswiat.com

youtube:

niezwykly swiat islandia



Kolorowy krater Kerio